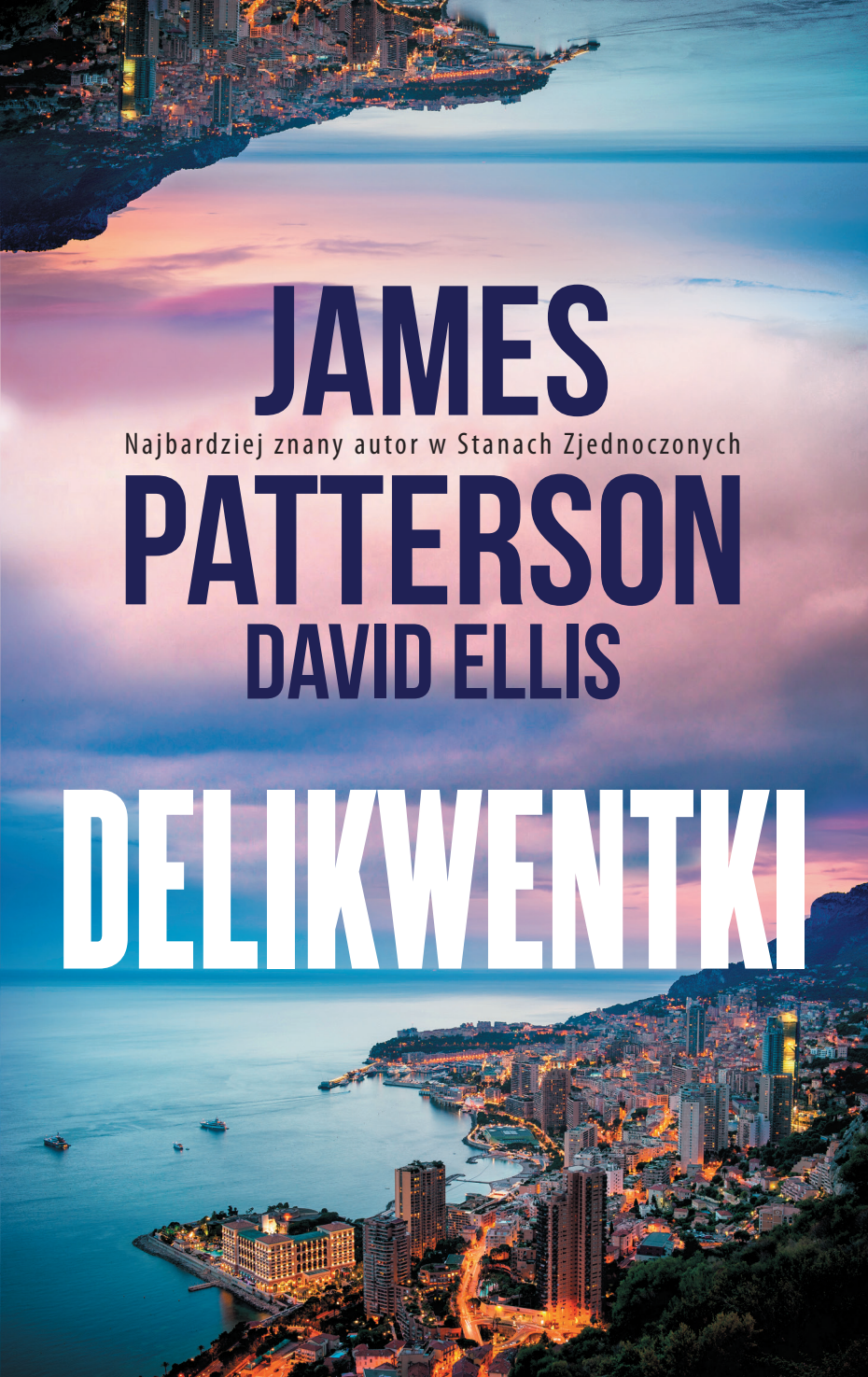




JAMES

Najbardziej znany autor w Stanach Zjednoczonych

PATTERSON

DAVID ELLIS

DELIKWENTKI

1

Mówią mi, że tu umrę. Nie znam tego miejsca, tego ciemnego, ociekającego wilgocią, zatęchłego lochu, gdzie nikt nie jest mi życzliwy, a większość ludzi mówi niezrozumiałymi dla mnie językami. Miejsca, które przez resztę życia będę zwać moim domem. To właśnie mi mówią. I jest mi coraz trudniej nie wierzyć ich słowom.

Są tu ludzie, którzy chcą, żebym umarła, niektórzy przez zemstę, ale większość dlatego, żeby zyskać rozgłos. Z pewnością zabicie mnie lub jednej z moich przyjaciółek, określanych zbiorowo mianem „Dam z Monte Carlo”, mogłoby posłużyć za drogę do sławy. Przewisko to na dobre zagościło w międzynarodowych mediach. Jest bardziej fantazyjne niż wcześniejsze – Banda Czworga, Pięknotki z Berna, Niebezpieczne Panie Domu. Niemrożące aż tak krwi w żyłach, przynajmniej w moim odczuciu, jak określenie z pierwszej strony dziennika „Le Monde”, które ukazało się następnego dnia po ogłoszeniu wyroku: *Mamans Coupables*.

Zbrodnicze Mamusie.

Tak więc czekam. Na cud. Na nowo odkryty dowód. Na zeznanie prawdziwego zabójcy. Na ucho, które życzliwie odniesie się do mojej apelacji. Lub po prostu na kolejny poranek, kiedy obudzę się i odkryję, że wszystko to było snem.

Przez ostatnie trzysta dziewięćdziesiąt dni otwierałam rano oczy i modliłam się, żeby znaleźć się znowu w Bernie lub, jeszcze lepiej, w Georgetown, i przygotowywać do wykładu o literaturze amerykańskiej dla skacowanych plebejuszy.

No i czuwam. Uważnie i powoli obchodzę każdy kąt. Śpię na siedząco. Staram się unikać jakiegokolwiek rutyny, z powodu której moje ruchy mogłyby się stać przewidywalne i narażić mnie na atak. Jeśli zamierzają dobrać się tu do mnie, będą się musieli nieźle postarać.

. . .

Dzień zaczął się tak jak każdy inny. Ruszyłam wąskim korytarzem do skrzydła G. Kiedy podeszłam do widniejącego na oszklonych drzwiach dużego napisu IZBA CHORYCH, przystanęłam i upewniłam się, czy moje palce u nóg zrównały się ze złuszczoną czerwoną linią na podłodze, znakiem nakazującym zatrzymanie się przed wejściem do środka.

– *Bonjour* – powiedziałam do strażniczki o imieniu Cecile, siedzącej przed hydraulicznie otwieranymi drzwiami. Żadnych nazwisk. Nikomu z obsługi więzienia nie wolno wyjawiać więźniarkom niczego więcej oprócz imion, a prawdopodobnie i te są fałszywe. Chodzi o zachowanie anonimowości poza ścianami tego miejsca; dzięki temu uwolnione więźniarki nie będą mogły polować na strażniczki, które nie traktowały ich zbyt miło.

– Witaj, Abbie – odpowiedziała mi jak zwykle swoim najlepszym angielskim, który rzeczywiście nie był taki zły. W każdym razie lepszy niż mój francuski. Rozległ się głośny, odbijany echem brzęczyk, i drzwi otworzyły się z sykiem.

Więzienna izba chorych wymiarami przypominała amerykańską salę gimnastyczną, ale miała niżej zawieszony sufit, niecałe dwa i pół metra nad podłogą. Prawie w całości stanowiła otwarte pomieszczenie wypełnione ponad dwudziestoma

łózkami. Po jednej stronie znajdowała się długa klatka – rodzaj poczekalni – w której więźniarki czekały na swoją kolej do lekarza lub pielęgniarki. Po drugiej stronie, również zamkniętej i zabezpieczonej – pokój mieszczący środki opatrunkowe i leki. Za tym pokojem była mocno strzeżona sala, która mogła pomieścić pięć pacjentek i była zarezerwowana dla tych, które cierpiały na chorobę zakaźną lub wymagały intensywnego leczenia, oraz dla więźniarek szczególnie niebezpiecznych.

Lubiłam izbę chorych. Jej jasne oświetlenie wносиło odrobinę życia do mojej ponurej codzienności. Lubiłam też pomagać innym; przypominało mi to, że ciągle jestem istotą ludzką, że nadal mam jakiś cel. Lubiłam ją również dlatego, że tutaj nie musiałam wciąż oglądać się za siebie.

Poza tym nic mi się tu nie podobało. Począwszy od unoszących się w powietrzu woni – cuchnącej mieszaniny zapachu ciała, uryny i silnych środków dezynfekujących, która zawsze uderzała mnie, gdy tu wchodziłam. No i mówiąc otwarcie, nikt przychodzący do izby chorych nie jest w dobrym nastroju.

A ja każdego dnia staram się mieć dobry nastrój. Bardzo mi na tym zależy.

Gdy tu weszłam, panował duży ruch, wszystkie łóżka zajęte, obecny był lekarz, dwie pielęgniarki i cztery więźniarki, które pomagały pielęgniarkom i biegały od jednej pacjentki do drugiej, opatrując otwarte rany symbolicznymi plastrami. Szalała grypa, a kiedy w Zakładzie Karnym i Poprawczym dla Kobiet jedna osoba zachoruje na gripę, choroba przenosi się na wszystkie osadzone w bloku. Próbowano izolować chore, ale wyglądało to jak przestawianie krzeseł w ciasnym gabinecie. Po prostu nie ma dość miejsca. Zakład jest przepełniony, normy przekroczone o pięćdziesiąt procent. W celach czteroosobowych zamkniętych było siedem kobiet – trzy

spały na materacach rozłożonych na podłodze. W więzieniu zaprojektowanym dla tysiąca dwustu więźniarek przebywało ich prawie dwa tysiące. Upychali nas ramie przy ramieniu i kazali zasłaniać usta podczas kasłania.

Po drugiej stronie zobaczyłam Winnie, która bandażowała stopę jakiejś Arabce. Podobnie jak ja, Winnie pomagała pielęgniarce. Dyrektor więzienia zabronił nam rozmawiać ze sobą, toteż zostałyśmy umieszczone w różnych blokach i wyznaczone do różnych dyżurów w izbie chorych.

Jak za każdym razem, na jej widok coś ścisnęło mnie za gardło. Winnie była moją najbliższą przyjaciółką od czasu, gdy wraz z mężem przeniosłam się do Berna w Szwajcarii, gdzie został on zatrudniony w amerykańskiej ambasadzie. Przez pięć lat mieszkaliśmy tuż obok siebie, bolejąc nad późnymi powrotami z pracy naszych mężów dyplomatów i zwierając się sobie z naszych sekretów.

No cóż, okazało się, że nie ze wszystkich. Ale ja jej to wybaczylam.

– Hej – szepnęła, wymawiając to słowo z uroczym brytyjskim akcentem. Dotknęła mnie palcami. – Słyszałam, co się stało. Dobrze się czujesz?

– Żyję jak we śnie – odparłam. – A ty?

Nie miała nastroju do żartów. Winnie była zdumiewająco piękna – wysoka i zgrabna, z wielkimi promiennymi oczami, rzeźbionymi kośćmi policzkowymi i jedwabistymi, czarnymi jak atrament włosami – dzięki czemu trudniej było dostrzec obwódki wokół jej oczu, przygarbienie postawy, lekkie pogorszenie humoru. Od tamtych morderstw upłynął już przeszło rok, a trzy miesiące od skazania. Zaczynała się załamywać, poddawać. Więźniarki rozmawiały tu o chwili, w której do tego dochodzi, gdy traci się całą nadzieję. Nazywały to *La Reddition*. Kapitulacją. Ja jeszcze jej nie doświadczyłam. Miałam nadzieję, że nigdy się nie poddam.

– Wieczorem na filmie – szepnęła. – Zajmę miejsce dla ciebie. Kocham cię.

– Ja też cię kocham. Odpocznij trochę. – Czubki naszych palców rozłączyły się. Jej dyżur się skończył.

. . .

Mniej więcej półtorej godziny później hydrauliczne drzwi otworzyły się z sykiem i usłyszałam podniecone głosy. Byłam zwrócona plecami do wejścia. Pomagałam pielęgniarce opatrzyć rozcięcie na klatce piersiowej jednej z więźniarek, gdy któraś pielęgniarka zawołała:

– *Urgence!*

Alarm. Zdarzało się ich mnóstwo. Co tydzień któraś z więźniarek popełniała samobójstwo. W przepełnionym zakładzie szerzyły się przemoc i choroby związane z brakiem higieny. Nie można było odpracować sześciogodzinnego dyżuru, żeby przynajmniej raz nie ogłoszono alarmu.

Mimo to odwróciłam się w chwili, gdy strażniczki i pielęgniarka wtaczały do środka nosze na kółkach z leżącą na nich więźniarką.

– Boże, tylko nie to. – Upuściłam opatrunki, które miałam w ręce. Zaczęłam biec, zanim w pełni uświadomiłam sobie, co się stało. Szok na widok czarnych włosów zwisających z noszy. Mina na twarzy jednej z pielęgniarek, która odwróciła się z przejściem i spojrzała na mnie, żeby sprawdzić, czy się zorientowałam, kim jest nowa pacjentka. Koniec końców wszyscy wiedzieli, że nasza czwórka stanowi grupę.

– Winnie – szepnęłam.

2

– Tylko nie to, błagam.

Odepchnęłam ostro ludzi stojących wokół mnie, roztrącając ich niczym kula kręgle, i podbiegłam do Winnie. Dwie strażniczki zobaczyły, że się zbliżam, i ruszyły do przodu, żeby mnie powstrzymać. Tymczasem lekarz i dwie pielęgniarki pochyliły się nad Winnie, wykonując gorączkowe ruchy.

– Dajcie mi spojrzeć. Pozwólcie... *permettez-moi...*

Pomiędzy dwiema przytrzymującymi mnie strażniczkami widziałam plecy pielęgniarki i nieruchome ciało mojej najlepszej przyjaciółki. Lekarz rzucił coś szybko – zbyt szybko, żebym mogła zrozumieć – i jedna z pielęgniarek pobiegła po jakieś lekarstwo do pomieszczenia z lekami.

– Co się stało?! – zawołałam, ale nie otrzymałam odpowiedzi. W przypiływie panicznego strachu użyłam niewłaściwego języka.

Jeszcze raz spróbowałam obejść strażniczki. Po prostu chciałam na nią spojrzeć. I chciałam, żeby ona spojrzała na mnie. Ale jedna ze strażniczek uderzyła mnie ręką w pierś tak, że nogi ugięły się pode mną i upadłam, waląc głową o podłogowe kafelki. Strażniczki rzuciły się na mnie, przygniotły swoim ciężarem i unieruchomiły.

– Proszę. *S'il vous plaît* – zdołałam wymamrotać. – Winie...

Chwilę potem, wyciągając szyję najwyżej jak tylko mogłam, zobaczyłam pomiędzy dwiema przytrzymującymi mnie strażniczkami, jak lekarz, mężczyzna w średnim wieku z długimi siwymi włosami, prostuje się, staje w swobodnej postawie i potrząsa głową w kierunku pielęgniarki, a potem zakłada na szyję stetoskop i odwraca się do drugiej pielęgniarki, tej, która pobiegła po leki.

– *Marian, il n'est pas nécessaire.*

– Nie! – jęknęłam.

Lekarz spojrzał na zegar wiszący na ścianie.

– *Le temps de mort... ah, il est quatorze heures quarante.*

Czas zgonu, czternasta czterdzieści.

– To wy... wy... ją zabiliście! – zawołałam i były to ostatnie słowa, jakie wyszły z czyichkolwiek ust, zanim pogrążyłam się w kompletnych ciemnościach.

3

Ciemność, mimo iż pokój był dobrze oświetlony. Zimno, mimo iż panowała w nim taka wilgoć, że koszula przykleiła mi się do ciała, a na czole pojawiły się kropelki potu. Krew, którą czułam w ustach, przeszywający ból w żebrach, sińce na nadgarstkach od kajdanek, którymi byłam przykuta do ściany – wszystko to było rzeczywiste. Zanim straciłam przytomność, stoczyłam jakąś walkę. Jej okruchy i fragmenty błyskały mi przed oczami. Kopałam i waliłam pięściami. Jak mi się wydaje, ugryzłam kogoś w ramię. Ale nie miało to znaczenia. Żaden z tych szczegółów już się nie liczył.

Ujrzałam teraz to, co zobaczyła Winnie. *La Reddition*. Kapitulację. Przestań z tym walczyć, a będzie ci łatwiej. *La Reddition* wyciągała do mnie dłoń, ale ja jeszcze jej nie uściśnęłam.

Czas mijał. Według moich obliczeń, od śmierci mojej najlepszej przyjaciółki upłynęło około dziesięciu godzin.

Drzwi celi otworzyły się i stanął w nich Boulez, dyrektor Zakładu Karnego i Poprawczego dla Kobiet. Ciemne, posmarowane czymś tłustym, zaczesane do tyłu włosy. Nieskazitelnym trzyczęściowym garnitur, zapięty na wszystkie guziki. Wyglądał jak polityk, którym pewnie był. W Ameryce Boulez byłby członkiem rady miejskiej planującym ubieganie się

o miejsce w Kongresie. We Francji był dyrektorem więzienia czekającym na szansę awansu do Ministerstwa Sprawiedliwości.

– Nie będę tracił czasu na uprzejmości – powiedział, sięgając, jak się wydawało, po właściwe słowa, jako że jego podwładne zamordowały właśnie moją najlepszą przyjaciółkę, a potem pobiły mnie i zakuły w kajdanki.

Rozejrzałam się po celi, w przybliżeniu wielkości mojej spiżarni w Stanach, zanim się przenieśliśmy. Pleśń na ścianach i suficie. Ciemne plamy na betonowej podłodze podobne do plam oleju w garażu – z tym że te były skutkiem uszkodzenia ludzkiego organizmu, a nie pojazdu.

Było to *le mitard*, więzienie w więzieniu: Czyli karcer.

Boulez nie był zachwycony tym, że się tu znalazł. Nie lubił brudzić sobie wypielęgnowanych rąk. Miał powód, żeby mnie odwiedzić, i zamierzał szybko przejść do rzeczy.

– Proszę mi powiedzieć, czego pani użyła – powiedział. – Uprości to sprawę inwentaryzacji zawartości szafki z lekami w celu sprawdzenia, czego brakuje. Będzie nam łatwiej, jeśli zezna to pani sama. – Jego angielski był bezbłędny, choć z silnym akcentem. Większość wykształconych Francuzów mówi płynnie po angielsku.

Zakasłałam, brudząc kropelkami krwi swoje brązowe spodnie.

– Nie zamierzam pytać o to dwa razy – warknął.

– Świetnie. Nie będę musiała dwa razy ignorować pańskich pytań.

Zamrugnął oczami, starając się skupić. Jego umysł potrzebował chwili, żeby pojąć, co powiedziałam. A potem się skrzywił.

– Czy też było to samobójstwo? – zapytał. – Każda z was miała dostęp do leków. Albo zabiła się sama, albo pani ją otruła. Co to było, Abbie?

Było rzeczą oczywistą, że z przyjemnością wypowiada do mnie te słowa. Oboje wiedzieliśmy, że żadna z tych wersji nie jest prawdziwa. Ale on dawał jasno do zrozumienia, że jedna z nich zostanie przyjęta jako wersja oficjalna.

– Winnie nigdy nie odebrałaby sobie życia – powiedziałam. – Proszę mi nie wmawiać, że to zrobiła.

– Ach, tak. – Uniósł głowę. – A więc morderstwo.

Próbował sprowokować mnie do ostrej reakcji. Ten gość powinien na zawsze pozostać dyrektorem więzienia. Nie było lepszego ujścia dla sadystycznych skłonności.

– Oczywiście, miała pani prawo obwiniać ją za swoje kłopotliwe położenie – powiedział.

Zakasłałam znowu. Z takim samym skutkiem. Wytarłam podbródek o ramię, nie mogąc posłużyć się dłońmi.

– Nie zamierzam zapomnieć tego, co się dzisiaj wydarzyło – warknęłam. – Ktoś będzie musiał za to zapłacić.

– Mam lepszy pomysł. – Boulez podszedł, okazując dość pewności siebie wobec faktu, że byłam unieruchomiona. Zatrzymał się kilka kroków przede mną, tuż poza zasięgiem moich nóg, na wypadek gdybym chciała go kopnąć.

– Niech się pani przyzna do tamtego podwójnego zabójstwa – powiedział. – A to, co przydarzyło się pani przyjaciółce Winnie, zostanie uznane za samobójstwo.

Jasna sprawa. Żadna z naszej czwórki nie przyznała się podczas rozprawy sądowej do popełnienia morderstwa. Boulez chciał zostać bohaterem, który nakłonił mnie do przyznania się. Chciał dostać do ręki kawałek krwistego ochłapu, żeby móc go rzucić mięsożernym międzynarodowym mediom – a w odpowiednim momencie, także francuskim wyborcom.

– A jeśli tego nie zrobię? – zapytałam.

– No cóż, popełniła pani już dwa morderstwa. A teraz trzecie? Nie możemy trzymać pani w więzieniu dłużej niż do

końca życia, prawda? Ale są inne sposoby wymierzania kary, Abbie. – Ruszył z powrotem w kierunku drzwi celi. – Dam pani czterdzieści pięć dni na przemyślenie sprawy.

– Przypuszczam, panie Boulez, że ma pan na myśli trzydzieści.

Niedawno we Francji uchwalono ustawę ograniczającą czas przetrzymywania w *le mitard* do trzydziestu dni. Ale wszyscy tutaj wiedzieli, że są sposoby na obejście tego ograniczenia.

– Powiedziałem czterdzieści pięć? I miałem rację. – Kąciki jego ust wykrzywiły się. Popchnął knykциями palców drzwi, które otworzyły się z lekkim zgrzytnięciem.

– Panie Boulez! – zawołałam za nim. – Nie wygra pan. Pewnego dnia zamierzam stąd wyjść.

Boulez zmarszczył brwi. A potem uśmiechnął się szeroko.

– Madame, jest pani najsłynniejszą zbrodniarką w dziejach Francji. Nigdy pani stąd nie wyjdzie.

Rzekłszy to, zniknął. Oświetlenie, włączane poza celą, zgasło, pogrążając mnie w ciemnościach. Na trzydzieści dni. Lub może na czterdzieści pięć.

Albo do końca mojego życia.

A wszystko to z powodu dwóch nocy spędzonych w Monte Carlo.

Część pierwsza

**Trzynaście miesięcy wcześniej:
czerwiec 2010**

Rozdział 1

Trochę więcej niż pół godziny po wystartowaniu z Berna samolot tak gładko wylądował na pasie lotniska w Nicei, że wydawało się, jakbyśmy siadali na maśle. Lub może była to zasługa szampana, który pogrążył już moje zmysły w odrętwieniu, okrywając wszystko cudownymi kolorami. Było cudownie, bo obiecałam sobie, że będzie cudownie. Wszystkie, choć z różnych powodów, potrzebowałyśmy czegoś cudownego. Pragnęłyśmy kąpać się w rozkoszy. Pragnęłyśmy śnić przez te cztery dni.

– Oficjalnie jestem na wakacjach! – oświadczyłam mojej paczce, przełykając ostatnie krople szampana.

– Jest po prostu szalowo, kochana! – Winnie pochyliła się nad przejściem i chwyciła mnie za rękę.

Serena, siedząca naprzeciwko mnie, uniosła swój pusty kieliszek i potrząsnęła długimi jasnymi włosami.

– *Bonjour*, Monte Carlo. I na tym, moje drogie, kończy się moja znajomość francuskiego.

– Nie zapominaj o takich wyrazach, jak *Chardonnay* i *Merlot* – dodałam.

– *Touché* – odparła.

– No widzisz, twój słownik błyskawicznie się poszerza.

Przyglądałam się moim przyjaciółkom. Jakim cudem spo-

tkało mnie tyle szczęścia? Serena Schofield, wysoka, świetnie zbudowana blondynka, była reprezentantka Stanów Zjednoczonych w narciarstwie, która zajęła piąte miejsce w zjeździe w Lillehammer. Trzydziestojednoletnia Bryah Gordon, urodzona w Johannesburgu w ciężkich czasach apartheidu, najmłodsza i najbystrzejsza z naszej paczki, chodzące kompendium wiedzy na wszelkie tematy, od najważniejszych po najbardziej trywialne, a przy tym na swój sposób piękna, o skórze koloru kawy i kędzierzawych afrykańskich włosach przystrzyżonych na wysokości podbródka. I oczywiście Winnie Brookes, egzotyczna Brytyjka zwana przez nas Diwą, obdarzona zapierającą dech w piersi urodą modelki, choć przez większość czasu zdawała się zupełnie nie pamiętać o swojej urodzie.

Poza tym byłam jeszcze ja. Abbie Elliot. Co ja robiłam w towarzystwie tych wspaniałych kobiet? Bo muszę przyznać, mimo wszystkich narzekań związanych z wyjazdem ze Stanów i przeniesieniem się do Szwajcarii, że moim głównym zajęciem było przyglądanie się im i odkrywanie ich zalet.

– Zamierzam przez pozostałe dni tej wycieczki mówić z brytyjskim akcentem – powiedziałam, odwracając się do Winnie. – Cholernie dobra zabawa, kochana – spróbowałam, starając się jak najlepiej małpować Monty Pythona.

– A ja mam zamiar udawać Amerykankę – odparła. – *Hey, how ya doin?* No, jak ci leci? Znasz może jakieś kraje, na które mogłybyśmy napaść?

Dzięki Serenie dysponowałyśmy prywatnym odrzutowcem, skąpanym teraz w przyjaznych promieniach zachodzącego słońca. Duży terenowy samochód podwiózł nas do portu lotniczego na Lazurowym Wybrzeżu, do części oznaczonej napisem PRIVATE AVIATION, gdzie czekały już na nas nasze torby.

– Mamy jakieś auto? – spytała Winnie.

– Auto? Samochody są takie przyziemne, *dahling* – odparła Serena, starając się jak najlepiej imitować głos Zsa Zsy Gabor i puszczać oko do wszystkich pozostałych. Żadnej z nas nie brakowało wyobraźni, ale Serena znacznie nas pod tym względem przewyższała. Nawet ktoś, kto dobrze ją znał, nie miał pojęcia o jej bogactwie. Żadna z moich znajomych nie była tak miła i bezpretensjonalna jak ona. Ale w tym tygodniu miało być inaczej. Miała pieniądze i precyzyjnie zaplanowała, jak je wydać.

Ruszyliśmy za Sereną do drzwi prowadzących na szerokie lądowisko, gdzie stał duży i lśniący, srebrnoszary helikopter.

– O rany, Serena! – wykrzyknęła Bryah, być może z leciutkim odcieniem zaniepokojenia. Nie wrywała się zbyt często z domu. Można by powiedzieć, że jej mąż Colton pilnował, żeby była grzeczna. Bo jeśli nie była, on robił się wobec niej niezbyt grzeczny. Najkrócej rzecz ujmując, Bryah nigdy dotąd nie uczestniczyła w takim babskim weekendowym wypadzie.

– Po co telepać się autem, skoro możemy polecieć? – Serena podbiegła do helikoptera i wsiadła do środka. Nie mogłam w to uwierzyć, ale prawdę mówiąc, mogłam, oczywiście. Pieniądze nie stanowiły przeszkody, a Serena chciała, żebyśmy spędziły cztery dni w świecie fantazji.

– Nie mogłaś znaleźć nic większego? – spytałam.

Zapięłyśmy pasy i po chwili helikopter błyskawicznie się unióś, przypinając mnie o drobny ucisk w żołądku. Niebawem przelatywałyśmy nad księstwem Monako i nie liczyło się nic oprócz spadzistych wzgórz Francuskiej Riwieri, błękitnego bezmiaru Morza Śródziemnego usianego mniejszymi i większymi jachtami wracającymi pod wieczór do portu, oraz różowo-zielonego nieba, na którego tle słońce zaczęło zniżać się nad horyzontem.

– Wiesz, że Monako jest drugim od końca najmniejszym państwem na świecie? – spytała Bryah.

– Fascynujące – zauważyła Winnie. Spojrzałyśmy na siebie, powściągając uśmiechy.

– Bryah, kochana – powiedziałam, klepiąc ją po udzie. – Zamierzamy dobrze się zabawić. Nie stresuj się.

Zaledwie siedem minut później wylądowałyśmy na lądowisku dla helikopterów koło plaży. Odpięłyśmy pasy i czekałyśmy, aż pilot otworzy drzwi.

– Chwileczkę! – zawołała Serena. Sięgnęła do torebki, wyjęła trzy wypchane koperty i wręczyła każdej z nas. Otworzyłam swoją i znalazłam w niej gruby plik euro.

– Co to jest? – spytała Winnie.

– To jest pięćdziesiąt tysięcy euro dla każdej z was – odparła Serena. – Grajcie za nie w kasynie. Wybierzcie się na zakupy. Róbcie, co się wam podoba. Obiecacie mi tylko, że je wydacie.

– Czy mogę kupić samochód? – spytałam. – Albo małą wyspę?

– A co z gwiazdoramii filmowymi? – spytała Winnie. – Myślę, że mogłabym wynająć na cały weekend Brada Pitta.

– Brad Pitt? Za stary, Win – zauważyłam. – Pomyśl o którymś z młodszych chłopców. Mógłby to być Zac Efron.

– Potrzebujesz sportowca – podsunęła jej Serena. – Takiego jak David Beckham. Albo Rafa Nadal.

– Rafa mógłby się nadać – zgodziła się Winnie.

Popatrzyłyśmy na Bryah, która cały czas milczała. Przyjrzała się pieniądzom, spojrzała na Serenę i wreszcie zdobyła się na wymuszony uśmiech.

– Mając taką sumkę, można popaść w niezłe kłopoty – powiedziała.

Popatrzyłyśmy po sobie. Kręciło się nam w głowach, byłyśmy lekko odurzone, ale rozluźnione i pełne entuzjazmu, to-

też wybuchnęłyśmy śmiechem. Za oknem helikoptera rozciągało się Monako, miejsce, w którym bawili się ludzie bogaci i sławni. Byłyśmy, każda z nas na swój sposób, przytłoczone rolą matek i żon mieszkających w przybranym szwajcarskim mieście, i ten weekend miał być naszą szansą na ucieczkę od codzienności. Chciałyśmy żyć przez cztery dni życiem kogoś innego.

– Bryah – odezwałam się. – Myślę, że trafiłaś w sedno.